Anna Zalewska o gimnazjach, 6-latkach i pracy dla nauczycieli: "Nikomu nie chcę niczego udowadniać"

– W dyskusjach z przedstawicielami wielu środowisk, zwłaszcza nauczycielskich, szukam kompromisu dla przeprowadzenia zmian, które są konieczne dla dalszego sprawnego funkcjonowania systemu edukacyjnego. Także dla zapewnienia pracy dziesiątkom wykształconych, oddanych oświacie nauczycieli w sytuacji bliskiego niżu demograficznego – mówi w ciekawym wywiadzie dla Portalsamorzadowy.pl Anna Zalewska, minister edukacji narodowej. Jest też o gimnazjach, 6-latkach, szkołach zawodowych, a nawet wyłudzaniu subwencji i 40 tys. zł płacy dla dyrektorów szkół.

Anna Zalewska: – Trwa wciąż debata społeczna na temat funkcjonowania systemu edukacji, która ma się skończyć zaproponowaniem zmian w podstawach programowych szkół, sposobie egzaminowania, w naliczaniu subwencji oświatowej. Zniknie np. obowiązkowy test po VI klasie oraz godziny karciane.

W resorcie zmiana goni zmianę. Jaki będzie ostateczny kształt systemu polskiej edukacji po reformie?

Opracowujemy nowe regulacje zmieniające funkcjonowanie szkół zawodowych, kładąc nacisk na kształcenie dualne we współpracy z przedsiębiorcami. Jest to dyskusja o nowej filozofii szkoły, sposobach prowadzenia poszczególnych etapów kształcenia, ale także o miejsce i rolę każdego podmiotu w szkole.

Ostateczny kształt reformy edukacji ogłoszę 27 czerwca w Toruniu.

Dlaczego tam akurat?

– Przepraszam za prowokację, ale Toruń to miasto, gdzie rozpoczęto akcję "Ratujmy gimnazja". Debata na temat przyszłości gimnazjów wciąż trwa i jest interesująca.

Może więc być i tak, że gimnazja nie znikną z mapy polskich szkół?

– Wówczas tam właśnie, z szacunku dla tego, co te środowiska zrobiły dla tej sprawy, będziemy dyskutować na ten temat. Wcześniej, bo 7-8 marca rusza 16 debat wojewódzkich. Do połowy marca mamy mieć wybranych wszystkich nowych kuratorów
. Będą oni zapraszać dyrektorów szkół w swoich województwach na rozmowy nie po to, by „zmasakrować” ewaluację, ale po to, żeby zebrać wnioski dotyczące tego, co najbardziej środowisku nauczycielskiemu przeszkadza i jakie zmiany ich zdaniem należy wprowadzić, pamiętając przy tym, aby zrobić tak to, by nie oddać pieniędzy z UE.

Wróćmy do sześciolatków. Wyłączenie ich z systemu szkolnej edukacji wciąż budzi kontrowersje. Wprowadzono je zbyt szybko, bez konsultacji?

– Tak, był to szybki projekt poselski dotyczący 6-latków. Ale musiał taki być. Zmiany dotyczące 6-latków nastąpiły tak szybko przede wszystkim dlatego, żeby zminimalizować panujące wokół nich zamieszanie. W grudniu ratowaliśmy 2 mld zł z nowej perspektywy finansowej i kilkaset milionów ze starej perspektywy. Mówię o e-podręczniku i zintegrowanym systemie kwalifikacji.

Chodziło o to, by nie oddać zagrożonych 2 mld i mieć je chociażby na doskonalenie nauczycieli i szkolnictwo zawodowe. Ten poselski projekt dotyczył także 6-latków. Następne będą już projekty rządowe, które będą procedowane w taki sposób, by każdy, nie tylko posłowie, mógł

się wypowiedzieć na regulowane w nich treści.

Samorządowcy obawiają się, że cała ta „krzątanina” wokół sześcio- i siedmiolatków spowoduje zwiększenie wydatków na oświatę w gminach.

– Czy to jednak ma znaczyć, że można, administracyjnie, bez zgody rodziców decydować o miejscu korzystania przez dziecko z wychowania przedszkolnego? To rodzice decydują, czy sześciolatek ma chodzić do "zerówki" w przedszkolu czy w oddziale przedszkolnym w szkole. Przypomnę, że do "zerówek", w których w myśl noweli od września będą uczyć się sześciolatki, wrócić ma nauka czytania, pisania i liczenia.

Jednocześnie dementuję, że samorządy nie mają na ten cel pieniędzy. To jest zwykła nieuczciwość, gdy mówi się o tym, że nie ma pieniędzy dla 6-latków w szkołach i że w przedszkolu będą oni mniej kosztować. W gminach i powiatach dobrze wiedzą, jak się liczy subwencje.

Subwencja uwzględnia szkolny obowiązek sześciolatków. Samorządy otrzymują na każdego przedszkolaka z budżetu państwa dotację, która od 1 września 2016 r. będzie podniesiona z 1305 do 1370 zł na dziecko. W ten sposób do samorządów trafi 1 mld 670 mln zł, czyli o 84 mln zł więcej, niż wcześniej planowano.

Niezapewnienie miejsc wychowania przedszkolnego dzieciom mającym do tego prawo jest naruszeniem przepisów prawa.

Ale resort podobno zamierza zmniejszyć samorządowcom pulę pieniędzy przeznaczaną

na edukację?

– Będziemy uszczelniać dotacje, by urealnić wielkość, sens i potrzebę wydawanych pieniędzy. Chcemy samorządowcom zaoszczędzić np. 150 mln, a do budżetu państwa odprowadzić dodatkowe 30 mln. Tyle bowiem można oszczędzić na wprowadzeniu podatku na nieopodatkowane obecnie pensje dyrektorów w szkołach niepublicznych. Dyrektorzy tych szkół potrafią zarabiać po 40 tys. zł.

Uszczelniamy przede wszystkich dotacje dla niepublicznych szkół i przedszkoli. W wielu miejscach wymknęło się to spod kontroli. Przykładem jest nauczanie domowe. Finansując tę edukację, państwo dokłada się do zajęć dodatkowych i egzaminów rocznych, by dziecko, jeśli zechce, w każdym momencie mogło wejść do systemu.

Zdarzył się przypadek firmy, która zgłosiła nauczanie 1100 uczniów w systemie domowym. Otrzymali na to 9 mln zł dotacji. Mieli uczniów z całej Polski i prowadzili jeszcze zajęcia dodatkowe. Nie potrafili jednak wyjaśnić, jak tego dokonywali. W tej chwili prokuratura przejęła całą dokumentację.

Zapytałam, jaka jest zdawalność egzaminów uczonych przez nich uczniów. Odpowiadają, że słaba, bo dzieci się... nie zgłaszają. Wśród tych uczonych domowo dzieci, znalazły się także takie, które przebywają za granicą. Nikt nie umiał wskazać, jak firma organizuje zajęcia dodatkowe dla dzieci, które są np. w Wielkiej Brytanii. Firma do tego zarejestrowała się w gminie wiejskiej, dzięki czemu zamiast 5,3 tys. zł subwencji na każdego ucznia, dostawała 7 tysięcy.

Tymczasem kiedy zmniejszyłam wysokość subwencji na nauczanie domowe do 60 proc., wywołałam awanturę. Jednocześnie odkryło skalę patologii.

Jest pani pewna, że te reformy – wszystkie naraz – są niezbędne?

– Jestem urzędnikiem państwowym, mam szukać kompromisu w systemie i między ludźmi, a nie udowadniać, że mam bezwzględną i ostateczną rację. Jeżeli jednak teraz nie zmienimy systemu, przy tak dramatycznym niżu demograficznym, z bardzo dużą nadpodażą nauczycieli, to za dwa, trzy lata, kiedy do szkół każdego roku przychodzić będzie o 50 tys. dzieci mniej, mielibyśmy niekontrolowane zwolnienia nauczycieli, których już i tak od 2007 r. odeszło 43 tysiące.

Z badań wynika, że przez najbliższych kilka lat nie powinniśmy na studia wyższe przyjąć jakiegokolwiek chętnego do zawodu nauczyciela, bo nie będzie dla niego w przyszłości pracy w zawodzie. Stąd desperacja resortu, by podjąć debatę społeczną z nauczycielami, jak tego uniknąć, dokonując koniecznych zmian.